

Wiadomości Polskie THE POLISH NEWS WEEKLY POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

W NUMERZE:

Zygmunt Nowakowski: Człowiek „stamtąd”. Rozmowa z prof. Stanisławem Grabskim. — Marja Pawlikowska: Słowo zyciodajne. — Julian Tuwim: Kwiaty polskie. — Tymon Terlecki: Prześladowanie kultury w Polsce. — Władysław Malinowski: „Reconstruction” or „Construction”? — W. A. Zbyszewski: Pożegnanie z Ukrainą. — Melchior Wankowicz: O cypryjskich przyjaciółach Anglików. — Zbigniew Grabowski: Dyktatorzy. — Alfa: Rozmaitości. — Kamera obscura. — Korespondencja. — Czytelni cy o „Wiadomościach Polskich”. — Skarbnica Polska. — Konstancja Benisławska: Wzywa wszelkie stworzenie, iżby chwaliło Boga. — Kazimierz Tetmajer: Narodziny Afrodyty. — Stanisław Brzozowski: Bolesław Prus. — Ignacy Krasiński: Bajki.

ROK II — NR. 45 (87) — LONDYN NIEDZIELA 9 LISTOPADA 1941

REDAKCJA

229/231, HIGH HOLBORN LONDON, W.C.1

Telefon: CHANCERY 6128

ADMINISTRACJA

9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1

Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA

kwartalnie

w Anglii 9s. 9d. w innych krajach \$2.25

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

M. I. Kolin (Publishers) Ltd. zawiadamia ze dn. 5 listopada b.r. otworzył własną księgarnię w Blackpool przy 40, Lytham Road

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

CZŁOWIEK „STAMTĄD” Rozmowa z prof. Stanisławem Grabskim

Jeden z najmądrzych i najbardziej przewidujących królów polskich, Zygmunt August, w liście do wielkiej władczyni Anglii, Elżbiety, ostrzegał ją aby swym poddanym nie pozwalała posyłać do Rosji najsłabszej broni a zwłaszcza zdolnych inżynierów, „którzyby ten ród barbarzyński nie tylko na szkodę Polski ale całego chrześcijaństwa w sztuce wojennej wyćwiczyli”.

Idąc na rozmowę z prof. Stanisławem Grabskim, myślałem o liście ostatniego Jagiellona, zwłaszcza że kupiłem po drodze dziennik, którego artykuł wstępny nawołuje by Wielka Brytania wypruła z siebie wszystko a dała pomoc techniczną Rosji. Zapewne i Zygmunt August zmieniliby swe zdanie, gdyby dożył dzisiejszych, tak paradoksalnych czasów. Zygmunt Nowakowski (o ile to kogoś interesuje), choć zetknął się z tym „rodem” niegdyś w Rosji jako turysta, później zaś poznał go nieco bliżej we Lwowie po zajęciu tego miasta przez bolszewików, przecież jest zdania, że pomoc należy do najbardziej koniecznych rzeczy. Rosjanie już dzisiaj nauki nie potrzebują, wycwiczyli się bowiem niejako w sztuce wojennej, potrzebują natomiast samolotów, czołgów, dział i wszelkiej rzeczy, która wojny jest. Potrzebują również butów, koszul, guzików, igieł i wszelkiej rzeczy, która człowieka jest. Pomoc ta, i to pomoc w jak najszerszym zakresie, wyjdzie (o tempora, o mores!) na rzetelną korzyść chrześcijaństwu, choć Rzym poskapił błogosławieństwem dla tej pomocy. To także paradoks dzisiejszej „drôle de guerre”.

Mówmy jednak o wywiadzie. Nigdy nie miałem zaszczytu poznać prof. Grabskiego, choć — jak sam mi przypomniał — byliśmy ze sobą w korespondencji. Kiedyś, podczas bombardowania Lwowa mignęła mi przed oczami jego sylwetka, ale na tem i koniec. Przed rozmową zjazałem więc do podrodznej encyklopedji w głowie, aby zbadać wiek profesora. W każdym razie starszy ode mnie. Światło dnia ujrzało mnie w roku, w którym on był już redaktorem. Zaczął w P.P.S., potem przeszedł do Narodowej Demokracji. Tu, na emigracji, pewni ludzie, którzy zaczęli od „pięciogroszówki”, przechodzą prosto, lekkiem krokiem do redakcji „Robotnika”, wierząc święcie, że będą stanowili jej ozdobę. To także ewolucja, ale bardzo swoista, konjunkturnalna.

Nie mówmy jednak o tych rzeczach, ponieważ o nich mówić nie wypada. W rozmowie z prof. Grabskim ton uszlachetnia się sam, wyzwała z rozmaitych nalożonych emigracyjnych. Prof. Grabski przyszedł „stamtąd”. Mimo to bije od niego Europa, Zachód. Jak Odys u Wyspiańskiego mówi chępliwie: „Byłem w Trojji”, tak on mógłby powiedzieć: „Byłem w Rosji!”. Odsywni nie wierzy nawet pastuch, prof. Grabskiemu wierzy się odrazu, ponieważ widać po nim, że przyszedł „stamtąd”, choć nie chce mówić o swym pobycie w więzieniu, o sprawach, które mogłyby podnieść nasze zainteresowanie. To przybysz nie liczący na sensację.

— Jeśli już ten wywiad jest rzeczą nieuniknioną, proszę stanowczo pominąć wszystko co mogłoby pachnąć „reklamą”. Jakis inny ton. Ktoś nowy przybył na nasze podwórko emigracyjne. Mój nos dziennikarski sensacyjny żadnych nie wywietrzy w tym wywiadzie, ale może ta właśnie skromność, ta dyskrepcja stanowi nowum niebylejakie. Strapiłem się odrobinię i pytam narazie o zdrowie.

— Doskonale. Zupełnie już dobre. Oczywiście, w więzieniu było trochę inaczej, ale to szybko minęło. Natura polska regeneruje się w niezwykłym tempie. Widzi pan, — to mówią prof. Grabski odwijając rękaw, — jeszcze do niedawna ta ręka była chuda jak kość, obecnie zaś...

— Podług mnie ta ręka i dzisiaj do szczególnie grubych zaliczać się nie może, ale profesor wygląda zdrowo i raczej młodo, wcale nie na ten wiek, który odkryłem w encyklopedji. Wślada za pytaniem o zdrowie idzie następne, o zdrowie naszych żołnierzy, o to, czy ta armia szkieletów może się bić? Przecież, jak słyszałem...

— Czy będą się bili? — wybuchła prof. Grabski — Oni idą setki wiorst, idą niemal bosy, w lachmanach, byleby tylko dostać karabin do ręki. Jakże cudowna, jak wspaniała jest natura polska. Wystarczyła zaledwie trzy tygodnie, by ci żołnierze

wrócili do formy fizycznej, duchowo zaś byli gotowi zawsze. Zbyt długo gnuśnieli w obozach, dziś chcą akcji, działania, chcą brać udział w rozwoju wypadków.

— Wszyscy? — Wszyscy bez wyjątku. Jeńcy wojenni i więźniowie. Polacy, ale trafiają się wśród ochotników także Żydzi. Obserwowałem ich i nie mam najmniejszej wątpliwości. Kto wie, czy Rosjanie ilości ochotników polskich nie uznają za zbyt wielką? Sowiety liczyli się z powstaniem dwóch, no, trzech dywizji, ale teraz w grę wchodzi ogromna cyfra, może 200.000. Poza żołnierzami i oficerami, zwolnionymi z obozów jeńców wojennych, napływają gromadnie skazańcy, wywiezieni z Polski, obecnie zaś zwalniani z obozów prac przymusowych. W dniu mego wyjazdu z Moskwy, dn. 11 września, były już do dyspozycji gen. Andersa dziesiątki tysięcy ochotników. Teraz otwarły się wrota obozów, runęli więc do wojska polskiego.

— Jakże ci biedacy żyli w owych obozach?

— Ano, czternaście godzin pracy na dobę, bez przerwy na posiłek...

— A ten „posiłek”?

— Dziennie dwie miski rzadkiej zupy, miska kaszy i około 500 gramów czarnego, obrzydliwego chleba. To wszystko. A przecież ledwo bramę otwarto, rzucili się do wojska. Oni chcą walczyć!

— Wspaniała istotnie jest ta natura polska, wspaniała! A czy zetknął się pan profesor z Ukraińcami?

— Sprawa zawsze skomplikowana, trudna, wisząca w powietrzu, mglista zazwyczaj i chronicznie zagmatwana, zdaje się w rozmowie z prof. Grabskim jakby nabierać konturów. Przez trzy długie miesiące siedział prof. Grabski we dwójce z jednym z najwybitniejszych polityków ukraińskich. Obaj w tem tete à tete zrewidowali swe poglądy i doszli do niemal zupełnego ich uzgodnienia.

— Wierzę w to, że prawdziwa normalizacja stosunków polsko-ukraińskich jest możliwa, ale jedynie w drodze bezpośredniego porozumienia miejscowych narodów polskich i ukraińskich.

— Jakże na Ukrainie podziały nowiny z okupowanej przez Niemców Małopolski Wschodniej?

— To prawda, że wiadomości, przychodzące do Moskwy z Małopolski Wschodniej już po jej zajęciu przez Niemców, mówiły o ciężkich przesładowaniach ludności polskiej, o gwałtach, dokonywanych przez gorliwie z Niemcami współpracujące organizacje ukraińskie. Tak, ale po klęsce Hitlera zbankrutuje germanofilizm ukraiński. Uważam to za rzecz nie ulegającą wątpliwości.

— Panie profesorze, przez jakiś czas, szczególnie na jesieni 1939 r., można było obserwować pewien flirt sowiecko-ukraiński. Sam byłem świadkiem ciekawych scen.

— Masowe areszty i zesłania Ukraińców, przeprowadzane od połowy 1940 r. przez władze sowieckie na Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu, mówią aż nadto wyraźnie, jak radykalnie rządy bolszewickie wyczerpały ludność ukraińską z wszelkich prosowieckich i prorosyjskich złudzeń. Dla przyszłego rozważania nowego ustroju Europy nieobojętną będzie rzeczą, jak Rosjanie traktowali ludność tych właśnie obszarów, do których zgłaszali pretensje etnograficzne czy inne.

— Panie profesorze, czy nasza ambasada interwenjuje także w kwestji zwolnienia Ukraińców z obozów i więzień?

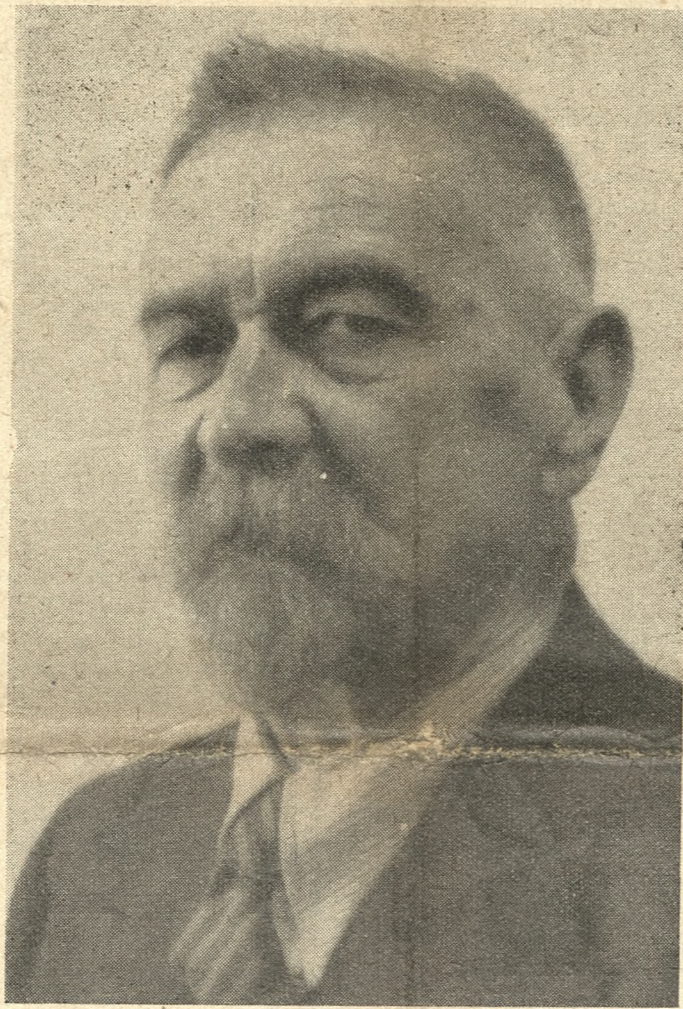
— Oczywiście! Jakżeby mogło być inaczej! Są to przecież obywatele polscy. Rzecz idzie opanie, jak wogóle każda interwencja na tych olbrzymich obszarach zwłaszcza teraz, w czasie wojny, ale czynnik nasze wywierają nacisk.

— A jakie są rezultaty interwencji w sprawie Ukraińców?

— Prof. Grabski zamyślił się. Bolszewicy zarzucają Ukraińcom, w wielu wypadkach słusznie, filogermanizm, pozatem... W Rosji panują inne zasady, władze sowieckie raczej są skłonne generalizować, wychodząc z założenia, że lepiej, aby ciało dwudziestu niewinnych, niż żeby jeden winny uszedł kary. To inny świat.

— Za co pan profesor został skazany, o ile mi bowiem wiadomo, zasądono pana profesora na osiem lat?

— Profesor patrzy na mnie, jakby sobie nie



STANISŁAW GRABSKI

przypominał już motywów wyroku. Rosja sowiecka nie zna wymiaru sprawiedliwości w naszym, europejskim znaczeniu. Panują tam inne kategorie. Mówiąc konkretnie, zarzuty dotyczyły przedewszystkiem stosunków profesora z „międzynarodową burżuazją”...

— Co to znaczy? — pytam na wszelki wypadek, myśląc sobie prywatnie, że np. używanie do golienia mydła Colgate'a jest

także w pewnym sensie podstawą do zarzutu stosunków z międzynarodową burżuazją.

Lecz prof. Grabski mówi o tych sprawach niechętnie, uważając je za zagadnienie dziesięciorzędne. Mimo to dodaje, że inny zarzut obejmował „zwalczanie rewolucji społecznej”. Ale to głupstwo, drobiazg niegodny wzmianki. Prof. Grabski nie chce mówić ani o więzieniu ani o

rzeczach minionych. Interesuje go przyszła Polska, której obraz pragnąłby widzieć w liniach zdecydowanych, jasnych, nie budzących wątpliwości.

My, nie kto inny, ale my właśnie, tu, na emigracji, mamy określić jasno ideę polską. Tak jest, idee! Niech cały świat cywilizowany wie, o jaką przyszłość dla nas i dla ludzkości walczymy. Idzie o idee, nie tylko o program przyszłej polityki gospodarczej czy przyszłego ustroju państwa, ale o programy polityki społecznej. W formułowaniu tych programów muszą być dopuszczone różnice zdań między poszczególnymi stronnictwami. Lecz nie to konkretne programy interesują Anglików, Amerykanów i inne narody.

Niewątpliwie interesuje ich przedewszystkiem polska myśl polityczna, z chwilą zaś, gdy ustalać się będzie nowa mapa Europy, zainteresowanie obejmie dążenia dziejowe Polski, jej ideały społeczne, gospodarcze, prawne. Rzecz w tem, aby owe narody były poinformowane na czas, aby wiedziały, jak wyobrażamy sobie stosunek człowieka do narodu i do państwa, oraz stosunek narodu naszego do ludzkości. Musimy wysłać o idee Polski i mówić o niej głośno, szeroko a mądrze, od tego bowiem, jaki w świadomości cywilizowanego świata, szczególnie świata anglosaskiego, wytworzy się obraz przyszłej Polski, zależy będzie i sprawa granic naszych. Jest więc rzeczą wielkiej wagi, by Angliki, Amerykanie, Belgowie, Holendrzy, Francuzi i t.d. i t.d., mówiąc z dziesięciu Polakami, nie słyszeli dziesięciu różnych ideologii, ale jedną, wspólną nam wszystkim bez wyjątku.

Zadumałem się nieco, słuchając profesora, który — człowiekiem „stamtąd” będąc — mówił w dalszym ciągu o ideologii wspólnej i ludowcom i narodowcom i socjalistom i bezpartyjnym. Zadumałem się, człowiekiem „stąd” będąc, ale słowa biegy szybkie, mocne, pełne wiary, która i mnie trącała zaczęła swem skrzydłem.

— Da się to osiągnąć, byłbyśmy wszyscy chcieli wzrok nasz zwracać ku wielkim zagadnieniom, ku przyszłości i świata i Polski, nie ku rozmaitym codziennym rozgrywkom. Dobra administracja, wzorowe ustawodawstwo, rozwój przemysłu, drogi i t.d. i t.d., to zaledwie 40%, reszta zależy od charakteru naszego, tak spazczonego w ciągu ostatnich lat. Idzie właśnie i głównie o szkołę charakterów, idzie o młodzież. Widzi pan, podczas rozruchów na uniwersytecie lwowskim przed wojną, zwracałem się do studentów, mówiąc, że to nie sztuka w dziesięciu zruczać się na jednego bezbronnego. Mówiłem im, że z takiego pokolenia już nie mogliby wyrósnąć np. obrońcy Lwowa, zatem ci młodzi, którzy w pojedynkę i niemal bez broni rzucali się na dziesięciu uzbrojonych...

Bez deklamacji, bez frazesów, szkicuje obraz przyszłej Polski wolnej i sprawiedliwej, której kontury zwykliśmy sobie upraszczać tutaj, wycygniając się nieśmiertelnym zwrotem „ludowa, demokratyczna”, a bojąc się sprzecyzowania tej ludowości i demokratyczności. Mam wrażenie — nie, jestem pewien — że prof. Grabski nie złąknie się, gdy przyjdzie chwila, że trzeba będzie przejść od komunalistów do konkretów. Może w tem jego rola tu, na gruncie emigracji londyńskiej?

Przynosi ze sobą myśl świeżą, niezatrutą miazmatami wychodźstwa. Przynosi z sobą... hm, jakby to powiedzieć, przynosi z sobą... Boga. Uczony, człowiek, który przez lat wiele był, jeśli nie niewierzącym, to w każdym razie obojętnym pod względem religijnym, dziś wierzy głęboko. Rzecz prosta, wzięcie zmienia i pogłębia. Albo hartuje albo łamie, wywołując pewne kompleksy, które w innych warunkach nie mogłyby dojrzeć. Człowiek niewierzący może stać się szczerym chrześcijaninem, i naodwrot, wierzący może stracić wiarę. Prof. Grabski odzyskał ją w czasie wielkiej wojny, obecnie w więzieniu znacznie ją jeszcze pogłębił. Wyznałem, że drgnąłem, gdy mi pokazał rżnięcie, z którym się nie rozstaje. A nuż przystąpi tu do założenia jakiegoś bractwa, jakiegoś nowego zakonu zmartwychwstańców, którzy w r. 1942 mogliby obchodzić setną rocznicę swego powstania? Chwyciła mnie myśl świecka i grzeszna zarazem, straszcząca się w słowach: „Tego jeszcze brakowało!”.

Nie! Obawy moje są niezasadne. Jeśli ja, laik do szczęścianu, mogę sądzić, katolicyzm prof. Grabskiego jest katolicyzmem — sit venia verbo — trzeźwym i wolnym od pielgrzymiego mistycyzmu. Jest to katolicyzm, który głosi sprawiedliwość przedewszystkiem. Dlatego przybysz ze wschodu, człowiek „stamtąd”, prof. Grabski, tak śmiało porusza sprawę np. ukraińską albo żydowską, zatem zagadnienia, które w nawale przesileni i rozgrywek politycznych wyszły nam z płociej głowy. Jak dobrze się stało, że przybył nam ktoś, kto pchnie te sprawy odłogiem leżące, ugorujące od dwóch lat. Może właśnie prof. Grabski nada ton właściwy np. Radzie Narodowej i wyprowadzi ją na świeże powietrze? On nie będzie się bał programu.

Przyrzekłem prof. Grabskiemu, że wstrzymam się od reklamy, jednak wyznaję, że od bardzo dawna już nie mówiłem z kimś, koby mnie tak oniemiała. Przelknąłem zatem podaną w opłatku lecz nader gorzką pigułkę czy reprimendę. Powiada bowiem prof. Grabski, że sprawa nasza zależy od autorytetu rządu polskiego na obczyźnie i że źle czynią pisarze, którzy... — O, bo pan to potrafi, tak po swojemu, zapomocą drobnych, zręcznych sztychów... — Omal nie uderzyłem w pierś, chcąc przyrzec, że już nigdy, przenigdy, że ostatni raz...

Robi się późno, i wypada kończyć rozmowę. Nie przynosi ona sensacji, przynosi natomiast powiew czegoś, czego nie wahałem się określić mianem idei. Nie proszę o jej sprzecyzowanie, sądzę jednak że będzie ona wyzyskana, jak będzie wyzyskana wiedza prof. Grabskiego o Rosji dzisiejszej. Był u samego źródła prawdy, mianowicie w więzieniu. Tam, i tylko tam, ludzie mówią samą prawdę, którą gdzieindziej trudno spotkać w Rosji. Więźniowie nie krepują się, jest im bowiem już wszystko jedno. Głośno wypowiadają to, czego ludzie na wolności, czy jeszcze na wolności, baliby się nie tylko wypowiedzieć szepcąc ale nawet pomyśleć.

Gdy pytam o Rosję, o jej przyszłość, słyszę, że zaręka no jak i Europa czy Ameryka ulega niebezpiecznym złudzeniom: Stalin i ludzie dookoła niego pozostaną na bardzo długi czas jedynym środkiem, które decydują o Rosji i decydującą będzie. Niema tam żadnego innego czynnika państwowotwórczego. Nawet w razie katastrofy, Rosja z konieczności będzie musiała oprzeć się na warstwie rządzącej dzisiaj, gdyż ta warstwa potrafiła stać się niekiedy jedynym. Ona skupia całą wolę i wszystkie możliwości.

Złudzeniem równie niebezpiecznym jest myśl, że w przyszłej Rosji może dojść do jakichś zasadniczych zmian, np. w kierunku odpaństwowienia przemysłu. Jest on całkowicie i wyłącznie w rękach państwa. Mogą ewentualnie rozspąć się kolchozy rolne, podczas gdy przemysł, olbrzymi, rozwinęty na gigantyczną skalę przemysł rosyjski nie wyzwole się rychło z absolutnej i totalnej kontroli państwa, i tylko państwa. Oczywiście, po wojnie może powstać jakiś drobny przemysł prywatny, mogą napłynąć kapitały obce, zatem przedewszystkiem amerykańskie, nie zmienią to jednak oblicza społeczno-gospodarczego Rosji.

— A wojna? — Wojna ta jest może nawet nie kosmicznem ale jakby transcendentalem starciem się zła i dobra. W tej walce zwycięży dobro, zwycięży Bóg. Nie przypadek pchnął Hitlera i rzucił go na Rosję. Widzę w tem dzieło Boga, Jego rękę.

Słucham tych słów, rzadkich w naszym życiu, które naogół unika imienia Boga i nadaremnie i wogóle. Oczywiście, Bóg! I ten Bóg nie jest napewno po stronie Hitlera. Czy jest na wschód od linii wojny? Nie wiem. Raczej gdzieś ponad tem wszystkim. W każdym razie, nie widząc Boga, powinniśmy Go szukać. I znaleźć.

Zegnam się już, bo godzina minęła. Mój gospodarz pracuje: przygotowuje jakąś rozprawę która wyjdzie niebawem po angielsku. Wspaniała jest natura polska i jej zdolność odradzania się: dwa miesiące temu prof. Grabski był jeszcze w więzieniu, dziś pisze pracę naukową.

Oni zaś, nasi żołnierze, po trzech tygodniach odpoczynku, chcą się już bić. I jak będą się bili, gdy przyjdzie do walki! Nawet dwa lata pobytu w Sowietach nie potrafią złamać Polaka.

M. I. KOLIN (Publishers) LTD. donosi ze otworzył oddział własny w Stanach Zjednoczonych pod firmą M. I. KOLIN, Publishers Inc. 20 West 58th Street, New York

M. I. KOLIN (Publishers) LTD. donosi ze otworzył oddział własny w Stanach Zjednoczonych pod firmą M. I. KOLIN, Publishers Inc. 20 West 58th Street, New York

MARJA PAWLIKOWSKA

SŁOWO ŻYCIODAJNE

W powodzi słońca, wzdłuż morskich obszarów, Tańca światelka, jak siamskie Apsary, Boginie rytmu, przed obliczem Brahmny, W kolebach i zbrojach.

Po dniu wczorajszym, deszczowym i szarym, Jest dziś pogoda. Promienność nieswoja, Szczęście — bez mnie. Ciepło — bez dobroci.

Lecz gdyby padło słowo: „powracamy!” — Gotowa jestem iskrzyć się i złościć, W uśmiech mój dawny ustroić się znowu, Z sercem na morzu, W koleczonem w światel pochwalny korowód...

CIEŃ

Znajomy, smuga pajęczego cienia, Staje pomiędzy mną a oceanem, Gdy smutek oczu w złotej kąpię wodzie...

Przyszedł oznajmić radosne zdarzenia, Pelen dobroci swej nieocenionej!

„Radosne wieści? — Do Polski wracamy? Nie? — To więc, bracie, ze słońca mi odejść...”

MARJA PAWLIKOWSKA.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

JULJAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

Fragmenty opowieści poetyckiej

Co praczka robi, rzecz wiadoma, Nie sekret też, co zbieracz znaczy, Matka chodziła prac po domach, A Kazek przyszedł do zbieraczy...

Jak każdy z sensem kolekcjoner, Po pewnym czasie zmienił system. Rzucił zbieranie rozproszone I pocuł w sobie specjalistę...

Przyjacieli ojca nieboszczyka, Nachm od pielnuch znał Kazika, A gdy do Łodzi się przenieśli (Przez mamę — „zeby bliżej grobu“),

Interes nieźle prosperował, Bo szarcowane były w modzie Za okupacji. Wzrost się codziennie...

Uwagi trzeba i skupienia, Gdy się wewnątrz ciemne głosy W wyraźny jasny wiersz przemienia...

Paczka, dwaście sztuk, dziesiątka! Pan da zarobić, panie legum! Zagadnął Kazek Dziewierskiego...

W zielono-białym świetle Kocięgo wzroku i księżycy... Wicher w miasteczku — i śnieżyca Zalepia ościeżale oczy...

Śledząc z lękiem za bibulką, Czyż pęta, cała na stół skoczy, Wcześniej zaczęły chmurzyć oczy...

Wzrost się codziennie, Wzrost się codziennie, Wzrost się codziennie...

W zbrodniarza. — Mam cię, stary lotrze! Ha ha! Myślałeś, żeś mnie podszedł. Doktor Moriarty, wściekle rzuć...

Awans maszyny na armacie Automatycznie spowodował, Że i „Spikulec“ awansował...

Edek — „Mysz“, drugi Edek — „Tartak“ (Chwalił się wujem, co miał tartak W Kaliszu; z tego poszło), wreszcie Biedaczek Tadzik, zwany „Kulos“...

Na tem im zeszło. Ani pluć tam, Ani już sikać. — „Nie marudziła!“ Dał znak spikulem. Odmarsz. Rozkaz.

Wszystkie szkoły srelnie i ogólnokształcące zamknięto. Zgazono wszystkie ogniska pracy uniwersyteckiej, a profesorów wyższych uczelni uwieszono...

Ważny dziś, że niech ręka boska. Cygańskim truchtem, drobnym chodem, Gęsięgo idą, a on przodem.

Na niebie i na placu razem Zabudowuje się obrazem. Do warg spikulec. Dmie w tę palkę Jako szczyrolap w swą piszczałkę.

Zamki srebrzyste i zwierciadła — — Aaa! — — To tak, to tak „WARSZA“ „WAPADŁA“!

Teatr polski, teatr odważnych poszukiwań formy scenicznego, przestał istnieć. Z 9 teatrów dramatycznych w Warszawie ani jeden nie stał się polskiemu słowu.

Wyciąga Kazek złotą buławę I pokazuje miasto Warszawę: „Patrzą — stolica“.

„Jak tam, chłopaki? — tak zaczął król — Dobrze czy źle wam się wiedzie? Kto ma zał jaki, skargę czy ból, Niech powie, zarządź biedzie“.

„My z Bożej Łaski Król Warszawski, Margraf Balucki, Książę Łódzki, Aleksandrowski, Lutomierski, Brzeziński, Radogoski, Zgierski, Rogowie, Rudzie, Zakowicac, Wisnioń Górze i Kraszewie, Strykowie, Głownie i Widzewie, Dokąd pamięcią Świą sięgamy — CHŁOPACKIE PRAWA ogłaszamy:

I) Podwórza wolne. Stróż ni rządcza Nie będzie się do zabaw wtrącał. II) Chłopcom dajemy we władanie Swobodę ulic polewanie Z gumowych węzów. III) Do wychodka Kto chce, ma wolny wstęp do brodka, Choćby z innego był podwórza.

VIII) Wolno, gdy wjedzie wóz w podwórza, Na kozioł wleźć i trzymać lejce. Kulosa zaś, co sam nie może, Podsadzi furman na to miejsce.

Zmienić obyczaj ich kapryśny, Lecz prośba „żeby geść niosty“ Przekracza Naszą kompetencję. Zwroćmy się do Panny Wiosny, By ich puszczała jak najwięcej.

„Klupa“ — podłużny kawałek drzewa o czterech bokach, na których wyrzyte były rzymskie cyfry. Gra polegała na tym, że uderzono się piątkami, podbijano i t.d.

2) Moje! — tak się witali za moich czasów sztabowe łódzcy. Nie jest to, jakby się mogło здаwać, skrót z „moje uszanowanie“, lecz zniekształcone „Morgon!“ (— mojen!).

1) por. pp. pp. 49, 58, 60, 62, 81, 83 i 85 „Wiadomości Polskie“.

2) Moje! — tak się witali za moich czasów sztabowe łódzcy. Nie jest to, jakby się mogło здаwać, skrót z „moje uszanowanie“, lecz zniekształcone „Morgon!“ (— mojen!).

TYMON TERLECKI.

3) Grajbera — stałówka-olbrzym. Rondówka — do pisania „rondem“.

MELCHJOR WAŃKOWICZ

O CYPRYJSKICH PRZYJACIOŁACH
W ANGLIKACH

PRZYJAZD
Obchodziliśmy ich, tych nieznanych nam Anglików — dookoła. Wiadomo — trafniejszy do obcego domu, rozglądając się gdzie tu koleb aby powiesić paltro, a każdy dom jest inaczej urządzony.

Już przy wylądowaniu srodeśmy się zawiedli. W drodze były przepytania, kto zaś po angielsku mówi, a ci co strawili pierwsze zeszły „Tausendworte“, przystawiali w szlachetnej pozie na dźwięk statku i rozpoczynali: „Your Excellency! Polish people is very touched hearing your words. Poland was always the sincere democracy like England and our university of Krakow and our King Jean Sobieski“...

To miała być odpowiedź na przemówienie gubernatora.

Stalo się jednak inaczej, niż oczekiwaliśmy. Za zrudził nam murkiem (takim mniej więcej jak te miejsca, kiedy się wiejską modą chodzi za stodołę) stał lekarz, kazał ściągnąć koszulę i badał, czy „Gosic Krola Jegomosci“ nie mają wzy. „Your Excellency! Polish people is very touched hearing your words. Poland was always the sincere democracy like England and our university of Krakow and our King Jean Sobieski“...

Namioty były czyste i przewiewne, materace — delcie, karmili nas jak mogli i zasypiali owocami.

„Znaczący — mowy będą na miejscu w Platas“ — orzekli wyznaczeni mówcy i repretowali „the“, „wytakając język między przednie zęby, przyciem dolną szczęką nieco w dół opuszczoną“.

W Platas był świetny hotel z gorącą i zimną wodą, z wannami, z lokajami w smokingu, ale mów — żadnych. Okazało się, że dwa zamieszkuje Cypr od lat trzech i czterech konsulowie — grecki i turecki — jeszcze nie poznali osobie gubernatora.

Kiedy pojechałem następnie do Kireni, miejscowości nadmorskiej, w której grupuje się jedyna cywilna kolonia angielska, przeżwanie emerytowanych urzędników — przez cały czas osiemnastego pobytu posyłałem jedną tylko mowę. Wyjeżdżał do Indji pan H. z żoną, i u pana W. było pożąlane przyjechać przy udziale całej angielskiej kolonii.

Commissioner, a więc reprezentant H. M. Rządu w Kireni, wystąpił naprzód z kieliszkiem. Był to starszy pan, „commissionerujący“ po nieskończonej ilości kontyentów.

— Sądze, że załujemy — burknął — że pp. H. odjeżdżają.

To rzekłszy, znacząco potrząsnął kieliszkiem. Mowa była skończona.

Przyjechał do Kireni w sto osób w towarzystwie licznych samochodów z bagażami. Na czele w Konstancjopolu na własne oczy widziałem ogromny drewniany kufer. Po jego otwarciu celnikom ukazała się położona na dnie jesionka, a na niej imponujących wymiarów naczynie specjalnego użytku i nic więcej.

Kiedy nas poproszono wieczorem na pierwszy obiad w sali jadalnej — na wszystkich stolach stały kwiaty. Przypisałoby to dbałości zarządu hotelowego. Potem okazało się, że poustawiały je zamieszkałe w hotelu Angielki. Ale i te ani nas nie witały, ani się nam nie pokazywały.

Mięło kilka dni. Nasze dzieciaki poczęły paradować z zabawkami, z kolorowymi książkami; dary niewidzialnych Angielki.

OD CHOPINA DO LEKCYJ ANGLIEJSKICH

Na mojem piestrze ktoś wygrał Beethovena. Po trzech dniach posyłałem Chopina. Po tygodniu zaznajomiono mnie na spacerze ze starszą Angielką. Okazało się, że to ona grywa.

Przez pierwsze dni nie osmieliłam się grać Chopina wobec jego rodaków, którzy zapewne rozumieją go lepiej i pełniej. Ale tak go lubię, że niech mi państwo nie wezmą za złe, że gram jak umiem.

Spostrzegłszy, że mówię po angielsku chropawo, zaproponowała mi konwersację trzy razy tygodniowo. Tak zaczęła się nasza znajomość.

Panna W., jak dowiedziałem się zboku, miała 75 lat. Z niewyrażonych strzępków wiadomości, pozostawianych przez osiemnastocześnie roznym, wynikało że jest zamężna i że od najwcześniejszych lat zawsze oddawała się pracy społecznej nie na przykładzie do życia, ale całkowicie, bez reszty i zawodowo. Jeśli się mówiło o robotnikach, okazywało się, że przez kilka lat mieszkała w dzielnicy robotniczej Londynu, by tam prowadzić pracę. Jeśli się zawiadziło o Oscara Wilde'a, okazywało się, że to był jej najniezwyklejszy chory w szpitalu — wymagał, aby koldra jego stale była pokryta świeżymi różami. Jeśli się mówiło o Indjach, wypływało, że przez szereg lat prowadziła tam prace misyjne, redagowała pismo, że była u maharadży Mysory, jeśli o Grecji, to co tam miała do czynienia przez dwa lata, a jeśli o Zydach, starszka z przejęciem oświadczała: „I am Sionist“, sezkolwiek była aryjką czystej krwi i członkinią misji angielskich. W Palestynie mieszkała przez siedemnaście lat, nauczyła się po hebrajsku (mówi zresztą również po niemiecku, po francusku i po grecku) i jest patriotką palestyńsko-żydowską.

— Skoro i Palestyna i jej klimat jest miły dla pani, dlaczego sprzedawa pani swój dom i przeniosła się na Cypr?

Panna W. odpowiadała najnaturalniej: — Widzi pan, miałam tam dużo przyjaciół, a siły pociągają mnie opuszczać. Nie chciałam być im ciężarem.

Przyjechała więc samotnie umierać. Jest jednak niezwykle czynna. Raz na tydzień bierze „suchy lunch“ i idzie na cały dzień w góry. Jest bardzo chuda, i dzieciaki greckie nawożą ją uragliwie gdy widzą jej pochyloną postać wspartą na kijku. Jeśli się jednak patrzy w jej twarz, jest się pod urokiem dobroci, która z niej promieniuje. Ma rysy regularne, musiała być piękna. Kto wie, jakie losy kierowały życiem pięknej i bogatej panny, jakie zawody. Mówi, że była zawsze wątła.

— Nie było w życiu momentu jednego dnia, — zwierzyła mi się, — w którymbym nie cierpiała fizycznie.

Inne dwie Angielki mieszkające w hotelu, to była 82-letnia pani P. i starsza panna D. O staruszcze P. opowiadał Grecy cypryjski, że jest to wielki „world-spy“, że w czasie poprzedniej wojny oddawała usługi staniowice o losach armij, że otrzymuje obecnie od rządu angielskiego rentę w kwocie 1500 funtów miesięcznie i że jej słowo wszystko znaczy u rządu.

Zdaje się jednak, że to była jedynie bujna fantazja Cypryjotów, którzy są uważani przez Anglików za „coloured people“ i patrzą na społeczeństwo angielskie przez pryzmat plotki czeladnej. Staruszka P., żywa jak skra, — pełno jej było wszędzie, i w kuchni hotelowej i w ogrodzie i po sklepach, — zdaje

się że nawet nie umiała po niemiecku, choć miała rezydować w Niemczech w czasie wojny. Urzędziła dla naszych dzieciaków wilję ze wspaniałymi prezentami.

Trzecia Angielka, panna D., była ongi sufrażystką, wiewająca po całej Anglii. Była dobra i postrzelona. Ofiarowała naszym dzieciom osiolka, pysznie wystrojonego w wstążki, i ponosiła koszt jego utrzymania. Znikła z hotelu nagle, nie pożegnawszy się z nikim ani z Polakami ani z Anglikami, zostawiając jednak gospodarzowi hotelu otwarty rachunek w banku na wyższenie osiolka. Ktoś ją po kilku miesiącach znalazł w jednym z miast po przeciwległej stronie wyspy.

DYGRESJA O TYTUŁACH I O PANU SARMACKIM

Zwolna poznaliśmy Anglików poza hotelem. Zaczęło się to w ten sposób, że dwóch Polaków zlapał na szosie nagły i rzęsiisty deszcz. Dobiegli do jakiejś lepianki przy drodze i schronili się do szopy z narzędziami. Tam ich spotrzyła mieszkanka lepianki, Angielka, zaprosiła do środka, i tak sobie przypadli do gustu, że na drugi dzień zaprosili i mnie.

Okazało się, że w lepiance, zbudowanej modą tutejszą z mieszaniny gliny i słomy, mieszka wdowa po pastozie, profesorze uniwersytetu — pani D. Wnętrze domu było uroczyste, pełne książek, kwiatów oraz pięknych prostych, wygodnych i tylko koniecznych mebli.

Pani D. mieszkała zupełnie sama i sama sobie usługiwa. Radja nie ma, gazety z Anglii przychodzą z trzymiesięcznym opóźnieniem. Chodzi do jakiejś pracowni bielizny dla rannych żołnierzy i wygląda zupełnie zadolowana z życia. Rozmawiamy z nią o tytułach. Jest to temat, na który Anglik może mówić bez końca.

Słuchając o tem, jakie tytuły ma starszy syn, a jakie młodszy, i jak jeden brat nazywa się tak a drugi owak, albo jak dojrzały człowiek w pół życia zaczyna się właściwie nazywać inaczej w łączności z otrzymanym spadkiem i tytułem, myślę boleśnicie o moich studiach nad historią Anglii, gdzie stał mi jakiś Churchill ginie nagle w przebraniu jakiegoś, dajmy na to, Marlborough.

Jest między nami taki pan, powieźmy, Sarmacki, który okropnie się wmyśla w tych manutów angielskich i nie wróży im nic dobrego w wojnie, bo ta kupa śmieśnych przytyków nie może się utrzymać. Pan Sarmacki bowiem jest demokracja, określa siebie jako człowieka nowoczesnego, a potem nie zna języków. Ktoś z otoczenia Paderewskiego powtarzał mi że kiedy Paderewski spytał jakąś potrzebującą pomocy rodaczkę, która zna języki, odpowiedziała: „Zadnych. I jestem dumna z tego“. Mam wrażenie, że to była kuzynka Sarmackiego. W każdym razie, kiedy grałem z nim w dniu poprzednim w szachy, krzyknął głosem królewskim: „Waite!“ i kiedy kelner przyszedł z drugiego końca sali, p. Sarmacki kazał sobie podać popielniczkę, stojącą na innym stoliku o dwa kroki. Pani Sarmacka, przy budziecie kilkusetzłotowym, niewątpliwie miała kocuchka stalego, na którym spędzala niehumory. Pani D. zaś sama sobie gotuje i sama sprząta odkąd przy pierwszym bombardowaniu uciekła do rodzinnej wsi w góry służąca Greczynka.

NIECO O SĄDOWNICTWIE

Pan S. jest to emerytowany wiceprezes sądu w Bombaju. Spędził w Indjach szereg lat i jak wszystkie urzędniczy kolonialni, nie może już mieszkać w chłodnym klimacie Anglii. Zbudował więc tu sobie piękny dom z Pleyelem, zabytkami, książkami i wszelakami frigidairami i otoczył ten dom, patrzący na morze, ogrodem, który stał się istnym muzeum pomologicznym.

Byłem w Kireni na uroczystym posiedzeniu sądownym. Dwa lub trzy razy na rok przyjeżdża sędzia naczelny („chief justice“) z Nicosii, stolicy wyspy, i wówczas w komplecie trzech rozpatruje się cięższe wypadki. Poprzednim razem „chief justice“ otrzymał jedynie białe rękawiczki od burmistrza — na znak, że przez cały okres ubiegły nie zdarzyło się ani jedno cięższe przestępstwo. Wziął rękawiczki i wrócił, tracąc cały dzień, jakby nie można było poprostu zatelefonować, że spraw niema.

Tym razem jednak była sprawa niebywała — o zwalczenie. Na takiej sprawie w Baranowiczach, sądownej przez kobietę-sędziego, świadek, brodaty Białorus, odmawiał zeznań, uśmiechając się wstydliwie i motywując, że „wysoki sąd w kobiecym stanie jestes“. Ciekaw byłem jak to odbędzie się w Kireni.

Na podwórzu sądownym wyciągnęło się, jak obszył, dwudziestu dwu chłopów miejscowej policji, złożonej z Cypryjskiej. Na te uroczystości dano dzwigać karabin nawet kancelistom — żeby było więcej. Walkonię się zwykłe po kawiarniach ówki stały uroczyste wypucowane, a ich dwoje, Turek, nalożył białe rękawiczki.

Wreszcie zajął samochód, a z niego wysiadło coś jak czerwony ptak z białym łbem i czarnymi nogami. Po przyjrzeniu okazało się, że to „chief justice“ w czerwonej toczce, jak mi się zdało z jakiegoś bardzo pośrodkowego drelichu, o jakichś napiętrzonych rękawach, wyglądających jak złożone skrzydła. Toga nie sięgała kostek, i widać było cienkie nogi w czarnych pończochach, obutych w płytkie lakierowane trzewiki. Z ogubnej białej peruki, spadającej jak upierzenie na ramiona, sterzał potężny czerwony nechal, który jedyny nie był tradycyjnym atrybutem, ale stanowił niezaprzeczoną własność prywatną sędziego i zwiększał jego podobieństwo do ptaka.

o raporcie przyjętym od Turka w rękawiczkach, czerwone ptaśzku przeszło przed pierwszym szeregiem policjantów, zatrzymując się przed każdym z nich i mierząc go kilkukrotnie wzrokiem od góry do dołu.

— U nas jak jest rewja, — mruzczał za mną niezadowolony p. Sarmacki, — to patrzy chłopcom w oczy a nie w pepek.

Niebawem jednak wzrosnąć p. Sarmackiego musiało wzrosnąć „chief justice“, skonczywszy teraz przegląd pierwszego szeregu, stojącego w ośme, wszedł między pierwszy i drugi, przechodząc skości, jakby się u nas napisało, „przed frontem“ drugiego szeregu, a ja jak w imię prawdy powinienem powiedzieć, „przed zadem“ pierwszego. Zatrzymując się bowiem styła za każdym policjantem i oglądał odwrótną stronę medalu z wielkimi zaciekawieniem, gruntuńto i z nieznaną powagą. Poceśliśmy się z p. Sarmackim domyślać, że widać intendentura polijei zaley od sądu, ale wyprowadono nas z błędu, że tak nie jest, że cała ceremonja na

znaczenie zysto honorowe.

Zato sprawa była krótka. Po prawicy „chief justice“ zasiadł poceziwy sędzia miejscowy. Grek (czy — jak chcą Anglije — Cypryjski), włoższy na te uroczyste okoliczności kusa peruczek z kucym myśm ogonkiem (w sądownictwie angielskim widać im większą sędzia ma lysinę, tem dłuższe mu włosy rosła na peruce). Adwokatki greccy, zwykłe przemawiające po domowemu, po grecku i po cywilnemu, teraz też wystąpił w toгах i mówili przybliżoną angielszczyzną, jakby przeszli jej kurs u „poliszmenów“.

Oskarżonym był osiemnastolatek z wielkim czubem kręcących się czarnych włosów, a pokoszowana widać reprezentowała matka, chłopka grecka, na którą raz po raz z dramatycznym gestem wskazywał obrońca, tytułując ją przez „lady“. Okazało się jednak, że sześćdziesięcioletnia lady sama była obiektem zapędów osiemnastolatka, nad którego głową zwiśla teraz chmura w postaci czerwonej togi, czarnych tóg, peruk dużych, peruk małych i świadectwa lekarskiego.

„Chief justice“ ocknął się z odretwienia, w którym trwał polewany przybliżoną angielszczyzną, dziobnął w powietrzu nosem w kierunku oskarżonej i ogłosił wyrok: wyrostek ma otrzymać dwanaście ciężkich plag i tegoż dnia ruszyć do domu.

Pan Sarmacki po raz pierwszy kiwnął głową aprobująco: — Przynajmniej nie nauczy gościa kraść.

Ale powróćmy do indyjskiego emerytowanego sędziego — pana S. Jest to dobroduszny niewielkiego wzrostu pan o wygolonej, czarnej, jak bęsztyk angielski, twarzy. Mówi zupełnie dobrze po francusku i opowiada ciekawe rzeczy o Indjach. Opowiada, że miał wiede sprawy „amoka“ w swojej praktyce. Amok — choroba tropikalna: chory wpada w szal i biega z nożem po ulicy, zabijając ludzi.

Pan S. mówi, że zwykle w czasie pościgu opętany przez amoka ginął zastrzelony.

— No, ale jeśli rzecz doszła do sądu, to chyba go uniewinniono? Przecież to choroba.

— Tak, choroba, — zgadza się pan S., — ale my ich wieszaliśmy, — mówi dobrodusznie, — tak, wie pan, było pewnie. My ich zwykle wieszaliśmy.

Pan S. jest w wysokim, bo osiemnastym, stopniu loży masonskiej i piastuje wszelkie niezwykle skomplikowane utensylja z fartuskami włącznie. Jego syn jest oficerem w wojskach indyjskich operujących w Afryce. Jego żona jest lekarzem w marynarce „somewhere“ na jakimś morzu i na jakimś okręcie. Syna nie widział już cztery lata.

DWA LISTY

Pewnego dnia najbliższy sąsiad pana S., były dyrektor kopalni w Egipcie, pan D., którego żona doskonale przyrządza „turkey“, otrzymał z Afryki depeszę: „Proszę powiadomić rodziców, że przylatują do Nicosii samolotem w czwartek o godz. 2 pp.“. Młody oficer chciał oszczędzić matce wstrząsu otrzymaniu depeszy.

W najbliższą sobotę wygraliśmy polskie krakowiaki na taras wielkiego sygnalisty, przywiezione przez oficera wojsk hinduskich jako afrykańskie trofeum dla angielskich rodziców na greckim Cyprze.

Zapytany o położenie na froncie, zastanowił się gruntuńto, poczem z powagą oznajmił, że narazie coś szwankowało z lodem w kantonie, ale że obecnie wszystko jest „splendid“, bo lodu jest „plenty“. Młody Murphy na żadne „horoskopy“ czasu nie traci.

Pani W. obecna na przyjęciu, patrzyła na młodego oficera oczami pełnymi bezbręznego żalu. I ona miała takiego syna niedawno. Szczęś stóp wzrostu, blondyn o jasnych oczach, meskiej twarzy, z której nie ulotnił się jeszcze cały puzek chłopięctwa. Oficer-pilot.

To zdarzenie zbiegło się w czasie z naszym przyjęciem. Pewnego dnia nadeszła depesza — że polegi. W parę dni potem przyszedł list — od niego. Opisany w upojeniu pierwsze swoje zwycięstwo. Zestrzelił dwa samoloty, jego eskadra zachowała się świetnie. List — młodość, list — miłość do matki, list — wiara w życie. Zanim się przebił przez cenzurę — już rzeczywistość była inna.

Pani W. siadła do biurka i napisała do jedynaka, którego już nie miała, obszerny i wyczerpujący list. Opisywała najdrobniejsze szczegóły życia.

Kierownik poczty w Kireni, spostrzegłszy w ekspedycji list do człowieka, o którego śmierci przed kilku dniami przyszła depesza, zadrzał się. Przyszedł pytać. Pani W. siedziała w fotelu na werandzie, objęgięjącej dom na modłę tropikalnych bungalowów.

— Niech ten list pójdzie, — powiedziała, — to nie. Ja wiem, że syn nie żyje.

Nie było żywcześniej nad nią przyjaciółki Polaków. Jeśli były chryzmy, była chrzestna matka, sprokurowała niemowlęciu wózek i wyprawę. Jeśli był ślub, — bo i to nam się zdarzyło, — pani W. wyprawiła przyjęcie. Modliła się z nami co niedziela, bo jest katoliczką.

Obszerny jej dom był zdawa widoczny dzięki pinistojące między dwoma cyprysami. Hall, salon, gabinet, pełne były dzieł sztuki orientalne, zwłaszcza chińskiej. Pani W. pół życia spędziła w Chinach. Meza straciła jako młodziutka meżatka w poprzedniej wojnie. Brat, pułkownik „Intelligence Service“, również zginął w tej wojnie. Mieszkała sama ze służącą Chiną i ze ślepym pułkownikiem, który zajął od niej jako gość na parę dni przed wojną i już pozostał.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

Dom był cichy, zacieniony, smutny i pogodny. Kiedy czytałem wspomnienia pani W. w wypraw wistym yachtem, penetracje po puszczach Siamu, przyglądałem się w pamiętkowej księdze rodowej autografom królów, oglądałem fotografie króla Jerzego V, goszczącego u jej ojca na Malcie, patrzyłem na szereg portretów, które zamalowała chłopięca twarz poległego syna, miałem wrażenie, że pani W. spełnia jakiś bezosobowy, ważny, trwający od wieków obrządek.

się służącemu wpuścić, niech pan bierze jakie chce książki, notując tylko na tym bloku tytuł. Jeśli pan chce na miejscu pracować, to, widzi pan, tu jest bufeik z napojami, a tu, we frigidairze — „soda“.

— A gdyby mnie ogarnęła senność, to mam się przespaciać na łóżku pana? — śmieje się.

— O yes, — odpowiada z nieznaną powagą pan D., — do rozporządzenia pana będzie o ten pokój gościny na prawo.

Potem siedzieliśmy na werandzie, i pan D., dowodził:

— Legenda nieraz ma podstawę prawdy. Niech pan spojrz na to drzewo judaszowe. Drzewo to, bez jednego liścia, pokryte było całe czerwonym kwieciami. Liście na niem rosły gdy kwiaty już zwiędła. Drzewo judaszowe ma więc konary nagie i tak pokręcone, jakby zastępy w straszliwym skurcu i opłynęło krwią.

— Legenda mówi — ciągnie pan D. — że drzewo to kwitło białe, a od śmierci Zbawiciela liście spłynęły krwią. Niech pan sobie wyobrazi, że to sto drzew hodowanych przez mnie, jedno ma białe kwiaty, że w toż dziejów, jako silniejszy, czerwony kolor opawał — biały.

Zegnam się.

— Jeśli pan chce pomarańczę z drzewa, to niech pan rwie z tej pomarańczy, — mówi pan D., odpowiadając mi przez ogród, — to drzewo obok jest niewartie.

W Kireni była jeszcze jedna Angielka — katoliczka. Pani C. Przyjechała katolicyzm przed trzema laty. Stale przyjeżdżała do naszego kościoła na osiolku. Opieka nad zwierzętami a zwłaszcza nad osiolkami była jej pasją. Pani C. kulaba, bo spadała kiedys z osła. Mimo to jej wytakająca sylwetka można było stała widzieli na uliczkach Kireni na placu w dniu jarmarcznym. Dobrowolny inspektor, wyposażona w legitymację Tow. Przyjaciół Zwierząt, bezapelacyjnie zabierała chore osiolki do założonego przez siebie szpitalika, gdzie stale znajdowało się po kilkanaście kłapouchów z płowami mordkami.

W domu miała całą kolekcję skonfiskowanych pretów z gwóźdźkami, któreimi wieśniak cypryjski zwykł kłuł osła.

CYPRYJSKI DIOGENES, JEGO PRZYJACIEL...

Jakiś czas upłynął, zanim zdałem sobie sprawę, że istnieje pan C.

Stale widziałem jakiegoś, niech mi daruję najszlachetniejszy z Anglików, obszarzącego w drelichowych spodniach i rozpiętej koszuli, w kapelusiku zrudziłym z resztką czegoś o czym domyślać się można było, że stanowiło wstążkę w epoce wojny burskiej, i w trepach wżutych na gołe nogi. To indywidualum jednak nie miało wyglądu ani greckiego ani tureckiego, i można było domyślać się w nim Anglika.

Coprawa, przypuszczanie takie zdawało się nieprawdopodobne. Nauczyliśmy się już, co znaczy u Anglików zasada prestige u rasy białej. Opowiadał mi pewien uchodzący za rosyjskiej rewolucji, którego zgnało do Indji, że władze angielskie nie pozwoliły żonie jego chodzić na targ, opłacając boya, że kiedy kupił bilet do Polski drugą klasą na parowcu, dopłacono mu do pierwszej. Nie przez sentyment, ale dla zasady. Nam na Cyprze robiono różne utrudnienia w wynoszeniu się z hoteli, dopłacono tym hotelom „extra“, byle wstrzymać polskich gości od zamieszkania wśród ludności kolonialnej. Poczciwy miejscowy sędzia — Grek, z którym lubiliśmy się zapuszczać do okolicznych wioseczek i siadywać po szynkach, zwierzał się, że hardzo by mu to za złe wziął „chief justice“, który w największe upały nie pozwalała sobie zdjąć marynarki.

A tymczasem owo tajemnicze indywidualum nie tylko nie nosilo marynarki, nie tylko chodziło „hatless“, niemal „pantaloonsless“ i „barefoot“, ale zaglądało do knajpek, greckich i to do nojnej.

Ciekawe rodaki, które miały dużo wolnego czasu i siadywały po różnych knajpkach, niebawem droga poleżonych informacyj zastawiały drogę obywatela pana C. Do każdej takiej knajpki o ścisłe określonej porze wsuwała się postać wspierająca się na patyku, który zastępował łaskę. Właściciel Grek lub Turek, nie pytając, stawał

SKARBNIK A POLSKA

KONSTANCJA BENISŁAWSKA

WZYWA WSZELKIE STWORZENIE, IZBY CHWALIŁO BOGA

O wy, którzy kręcicie gwiazdy z słońcem złotem,
Czyszcili duchowie, ciała nie skażeni błotem,
Boscy szambelanowie, niebiescy mieszczanie:
Chwalcie Pana naszego, chwalcie nieprzestannie.

I wy podniebne, słoneczne karocy,
Księżycu srebrno-jasny po czarniawej nocy,
I wy gwiazdy, tysiącem po niebie rozsiane:
Słodki rym Twórcy nódce, nódce pieśń wprzemiame.

Wody, co się wieszacie nad okrągim ziemi,
Chmury, dżdże, grady, śrzony, z wyspy śnieżnymi,
Rosy, mgły, i upały, i mrozy, i lody:
Śpiewajcie spolem Bogu, brzmijcie słodkie ody.

Lyskania chmuro-błędne, wiatry laso-lome,
Pioruny trój-języczne, powietrze ruchome,
Szturmy i wiatry gwałtowne, Akwilony zimny:
Chwalcie Pana nad Panmi radośnymi hymny.

Morza, rzeki, jeziora, zdroju czysto-chłody,
Potoki wdzięczno-mrucze i wszystkie ziem wody,
I wy, co tam mieszkanie w wodzie kryształowej:
Wznosiście głosy pod nieba, zagrajcie hymn nowy.

Pagórki zbożo-rodne, puszcze drzewo-wznieśte,
Góry łysy, doliny trawiskiem poroste,
Złwina płowe, jagody, owoce dojrzale:
Dajcie swemu Monarsze najwyższemu chwale.

Czworo-nogie zwierzęta, ptaszak chór wesoly,
Powietrze i podziemie i ziemne żywioły,
I dobytek domowy, i mieszkaniec leśni:
Nieście Panu swojemu dzięko-czynne pieśni.

Kwilące niemowlątka, weseli młodzianie,
Sławi starcowie, panny wstydliwe i panie:
Sam hurmem tu się spycie: tu się, tu zbiegajcie,
Pochwalami licznymi nieba przebijajcie.

O wszystko-władny Rządco na ziemi i niebie,
Niech wschód, zachód, południem północ chwali Ciebie,
Niech zna Twe Imię święte i uderzy czołem:
Dzięki Amerykanin z dawnym światem spolem.

Niech Cię dyszkant, alt, tenor i bas naprzemianny,
Naprzemianny niech wielbią z głosami organy,
Skrypcy, flet, obój, puzon, trąby z waltorniami,
Arfy, lutnie, krzywosze, bębny z cymbalami.

KONSTANCJA BENISŁAWSKA.

STANISŁAW BRZOZOWSKI

BOLESŁAW PRUS

Właściwie mogą ciągnąć dalej. Kiedym mówił o szlacheckim rozleniwieniu, ciężarem na społeczeństwie naszym, jak przekleństwie, mówiłem o tragedji Stanisława Wokulskiego, tej najbardziej posagowej postaci, jaką nowoczesna literatura polska stworzyła. A gdy już poruszać tę postać, otwiera się przed nami perspektywa na tak powierzchowne, i tak mało zrozumianą, a tak tragiczną i tak niezwykle czystą twórczość Bolesława Prusa. Prus — humorysta, Prus — opowiadacz dowcipnych dyktarek. Jest w tem konsekwencja. Społeczeństwo, wielbiciel Sienkiewicza, z Prusa niewiele więcej zrozumieć było w stanie. Twórczość Prusa nie jest tak jasna, skryształowana, jak sienkiewiczowska. A Prusa perspektywy nieustannie się zmieniają, dokonywa się nieustanna praca myślowa i uczuciowa. Prus spośród wszystkich pisarzy naszej epoki czyni najwięcej wysiłków dla zrozumienia przetrworzeń społecznych, dokonywających się dokoła niego. Usiłuje on zrozumieć życie, określić cel, do którego zdąża ono w swym rozwoju. Co więcej, czuje, czuje sercem, posiadającym ten zdumiewający geniusz miłości, pracę, ból, smutek towarzyszące temu nieustannemu przekształcaniu, ale czuje i jego radość i potęgę. Czuje smutek wydziedziczonej szlachty, idącej na niepewny los tułaczki wielkomięskiej, posiada lek chłopca przed nieznanymi mocami życia, które przychodzą wraz z pasmami dróg żelaznych aby zbурzyć spokój wsi polskiej, i czuje jego fanatyczne przywiązanie do ziemi, czuje mus, pehający młodych przez z domu, rzucających starą wiarę i stare przyzwyczajenia, ale rozumie i ból matek i ojców, nie pojmujących tej konieczności, a czujących ból rozłąki i lek o zdążających w nieznaną przyszłość, czuje wszystkie rozłąki i rozdarcia. Ten entuzjasta pracy organicznej jednym słowem umie wskazać naiwny entuzjazm mieszczan i rzemieślników sprzed roku 1863. Jego pamiętnik subiekta składowego jest niemal dokumentem historycznym. Czuje się w psychologii postaci Prusa, w samym języku, jakim mówią one, wpływ nieustannie dokonywającej się zmiany w strukturze społecznej. Czuje się, że jego Rzecki związany jest z Warszawą, znaną nam ze szychów jedynie. Prus ma balzakowski zmysł środowisk społecznych. Każda jego postać ma swoje miejsce w historii, przynależność do określonej warstwy społecznej. Możemy odnieść w kreślonych przez niego charakterach jak gdyby wyzłobienia, brzozy postawione przez proces dziejowy, niewątpliwie stare stosunki i wytwarzający nowe, długą i bolesną pracę przystosowania się, wrastania duszy w nową formę. Zwolna, zwolna Rzecki staje się coraz bardziej osamotniony na bruku tej Warszawy, której wzrost i powstające bogactwo wital tak radośnie. Czy nie dostrzegamy dokładnie całej skomplikowanej sieci stosunków społecznych poza psychologią pani Latter, Norkskich, Solskich, Brzeskich?

Prus, jak Balzac, nie poprzestaje na tworzeniu pojedynczych postaci. Tworzy całe społeczeństwa, które przekształcają się i rozwijają, kształtują ludzi. Prusa sympatja, miłość, odczuje bólów indywidualnych, z jakimi związane jest to przekształcanie, nie powstrzymuje od uznania samego procesu za konieczny, zbawienny. Kocha on życie i jego rozwój. Cieszy go każda nowa maszyna, którą wwożą do kraju, każdy nowy przyrost bogactwa i energii ludzkiej. Jego odczucie życia społecznego jest wybitnie nowoczesne i postępowe. Posiada on zmysł dla tego wszystkiego, w czem wyraża się energia człowieka, jego władza nad przyrodą. Jednocześnie zaś to rozumienie, a co więcej, całkiem bezpośrednie odczucie konieczności rozwoju społecznego nie przesłania mu oczu na całą pracę i mekę jednostek, z którymi rozwój ten jest związany i których kosztem się odbywa. Prus doskonale rozumie, że w przeważnej ilości wypadków jednostka czuje dziś ból i zmęczenie zmiany, nie rozumiejąc jej znaczenia. Miłością swoją ogarnia wszystkich tych cichych współpracowników życia. Jego kult cierpienia nie jest sentymentalizmem. Nie można go nawet nazwać kultem. Prus w cierpieniu odczuwa twórczą pracę życia. Jednostka cierpi, bo ludzkość rośnie, bo ludzkość nie da się zamknąć w granicach zadanego ideału. Jednostka widzi tylko, że jej ukończenie w przyręzie idzie, a nie dostrzega już tego nowego gmacchu, który życie na gruzach jej spokoju wzniesie. Prus czuje poważy rozwój życia, poważy znaczenie budowa cywilizacji i kultury, bezmiar pracy, ale czuje także, że musi być ona dokonana. Współczucie dla meki nie odbiera mu zrozumienia jej celu, zmysłu dla jej wielkości i piękna. Prus jednocześnie i myślał ze szczytu piramid wybiega w dal i sercem dźwięka, wraz z barkami gnących się pod razami biczów fellachów, granitowe

bloki. Gdy pisze o naszych czasach i o swoim społeczeństwie, sympatja dla jednostek przemaga w nim nad bardziej intelektualnymi uczuciami podziwu, sympatji dla całości życia społecznego, wzrostu cywilizacji. „Faraon” natomiast jest budową znakomicie zrównoważoną. Historyczny geniusz Prusa, jego dar „widzenia” organizmów społecznych tworzą tu nowy rodzaj sztuki — poezję kultury. Kultura, szczególnie kultura nowoczesna, wyteżona w wiecznym pośpiechu i pracy, niezmordowana i nieustannie twórcza, wydała niewiele poetów, zdolnych zrozumieć jej piękno. Jest to łatwo zrozumieć. Kultura ta w swoim nieustannym pośpiechu niewyższe wszystkie nawyknięcia indywidualne. Jednostka czuje przeważnie jej ucisk, jej wrogą wszelkiemu spokojowi, nieustannie burzycielską pracę. Stąd też artyści przeważnie piszą żławe elegie oplakujące topole, wycofanie gdy trzeba było przeprowadzić nową linię drogi żelaznej lub kanał. Prus uczyniłby z topoli nawet, ginącej pod ciosem siekiery, współpracowniczkę wielkiego dzieła, ukazałby, jak śmierczą swą otwiera ona drogę dla nowego życia. Prus rozumie, że ginące stosunki, ginące formy życia przez zżubę swą współdziałają powstawaniu nowych. Dlatego to pojmując cierpienie tej zżuby jak współdziałanie, dlatego to umie nawet ze współczucia dla niej uczynić formę miłości nowego, rodującego się życia. Jeżeli istnieje stan uczuciowy, odpowiadający wymaganiom nowoczesnego rozwoju, jeżeli istnieje stan duszy, łączący rozumienie i współczucie dla wszelkiego cierpienia ze zrozumieniem i miłością dla rosnącej tem cierpieniem właśnie kultury, jeżeli istnieje stan duszy głęboko postępowy i ludzki jednocześnie, to jest nim ten, z którego narodziła się poezja Bolesława Prusa. U nas pod postępowością pojmując się zazwyczaj postępową tendencją. Jest to jednak bardzo powierzchowne i jednostronne pojmowanie sprawy. To, czego artysta chce lub nie chce, jest wynikiem jego świadomej myśli. Twórczość jego jest zaś w znacznej mierze od tej myśli niezależna. Zależy ona od ukończenia, dążeń artysty, wytryska z jego życia uczuciowego. Uczucie jest zaś zazwyczaj konserwatywną stroną w życiu człowieka. Wiązuje go ono najściślej z tem co jest lub było. Szczególnie uczucie, o które idzie w sztuce. Artysta kocha zawsze konkretnie, kocha kształt duchowy czy cielesny. Kształty rzeczy nowych rażą nas, gdyż niszczą przyzwyczajenia nasze i przystosowania umysłowo-uczuciowe. Jeżeli czujemy wartość tych nowych stosunków, nowych form życia, związek nasz z niemi jest przeważnie abstrakcyjny i nie bezinteresowny. Toteż najczęściej nie przedostają się one do sztuki. Prus umiał pogodzić te abstrakcyjne miłość kultury i postępu z miłością dla tych pojedynczych dusz, poprzez których cierpienie i pracę postęp ten się dokonywa.

Twórczość Balzaka posiada ten sam typ społeczny. Balzaka jednak wiązuje ze światem inne zgola wezły uczuciowe. Balzac nie kocha właściwie człowieka. Człowiek zacieka kawał tylko. Jednostka zajmuje go jako ilustracja tych jego kulturalnych widzeń, z których powstał cały jego świat. Widzeń, na które składają się potężny umysł i wola namiętna, a wyteżona w kierunku zdobycia. Balzac więcej myśli, mniej czuje. Posiada wobec świata ludzkiego więcej przenikliwości badacza. Nie interesuje go to co czuje dany człowiek, lecz to czemu jest on w całej maszynie życia. Stąd zagadnienia stawia głębiej, ale prawda jego postaci jest bardziej zewnętrzna. Jest to prawda widziana przez genialnego myśliciela, psychologa społecznego, nie prawda drgnień duszy, przez współczującą duszę twórcy ujętych. Postaci Balzaka są genialnie skoncipowanymi przez anatoma-socjologa preparatami ludzkimi. Postaci Prusa ukazują przed nami wewnętrzne swe życie, tak jak było dla nich samych. Zagadnienie życia duchowego postaci Prusa jest zazwyczaj sprowadzone do odczucia ich stanu duszy poprzez pryzmat właściwego Prusowi dobroliwego humoru. Pojedynczy człowiek obchodzi go przeważnie uczuciowo. Znaczenie jego przedmiotowe wydaje mu się niezbyt znaczne. Dlatego też psychologia Prusa jest powierzchowniejsza od psychologii Balzaka. Jest tylko bardziej ludzka. Balzac wie o swoich bohaterach rzeczy, których oni sami nigdy nie wiedzieliby o sobie; natomiast nie wie co właściwie czują oni. Prus wie dobrze co czują, natomiast jego wiedza umysłowa o człowieku jest płytsza, nie wnika dostatecznie w charakterystykę pojedynczej postaci. Wydaje mi się jednak, że można tu odnaleźć pewne prawo. Postaci, z którymi wiązuje Prusa wezły sympatji i współczucia, są zazwyczaj szczerymi i prostymi naturami. Ale znajdujemy i u niego postaci, obchodzące go bardziej intelektualnie, niektóre z nich przeprowadzone są czysto sylwetkowo, jako szkicowe ilustracje wiedzy Prusa o społeczeństwie, jego nieustannych spostrzeżeń i

uogólnień. Są jednak i takie, które zajmują go jak roznamietający problem. Taka jest panna Izabella, która świadczy o bardzo dalekich, niekiedy aż „okrutnych” zainteresowaniach psychologicznych autora. Kwestja jej życia erotycznego jest postawiona w sposób śmiały, surowy i pewny. Wokulski przedstawia inną komplikację. Tu wsiątko dużo pierwiastków subiektywnych. Konflikt Wokulskiego i społeczeństwa, to poezji konflikt samego Prusa. Gdy się zrozumie miłość Prusa do rozwijającego się życia, zrozumie się jak często musiała wzbierać w nim niecierpliwość na niemrawy rytm rzeczywistości. W każdym razie stworzenie dwóch takich postaci, jak Izabella i Wokulski, świadczy, że i pisarza naszego stać było na monumentalność koncepcji psychologicznych. A taka pani Latterowa! Ile siły, energii, namietności czuje się w każdym słowie tej kierowniczkii pensji.

Tu dostrzegamy znowu u Prusa rys bardzo znamienny. Prus nie lęka się namietności, nie umoralnia jej par force. Wydaje mu się ona piękna a przynajmniej interesująca, taka jaka jest. Taka pani Latterowa ma w swojej walce o mikroscopijne interesy swego rodzinnego życia zupełnie napoleonowskie gesty. Balzac dodalby do swojej powieści, wplótłby w nią mniej lub więcej zawily komentarz socjologiczny i zwróciłby uwagę publiczności i krytyków na to, czem mogłaby być pani Latterowa w innych warunkach. Ale Prus i na własną odpowiedzialność pisarską patrzy z nieco pomniejszającym humorem. Nie podkreśla on nigdy niczego, używa słów najmniejszych. Niema w nim cienia zarozumialości, wysuwania się na pierwszy plan. Nie tylko nie przywiązuje on znaczenia do tego, że to on właśnie dane zagadnienie lub zjawisko spostrzega, lecz jak gdyby unika przypisywania samym zagadnieniom tym zbyt wielkiego znaczenia. Wybitna uczuciowo umysłowa jest jego rysem charakterystycznym. O przenikliwości psychologicznej Prusa świadczy także stosunek pomiędzy Adą i Kazimierzem Norkim. Wogóle Balzacowi erotyzm stanowi bardzo silną stronę talentu Prusa. Nie ma on żadnej fałszywej prudencji, a posiada jak gdyby niemyślny instykt. Powiedziećby można, że patrzy on na tę stronę życia bezgrzesznie oczyma profesora Dębickiego i z naiwnością uczzonego formuluje swe spostrzeżenia. Jak np. zaobserwowana jest kokieteryja Heleny Norkskiej. Zwracam raz jeszcze uwagę na pomniejszanie, bagatelizowanie własnych spostrzeżeń zagadnień przez Prusa. Często nie klasyfikuje on dostatecznie swych obserwacji i spostrzeżeń wcale powierzchowne pomniejsza na tym samym planie z bardzo głębokimi. Pisarze ostatniego pokolenia dali się, jak się zdaje, uwieść tym pozorom i nie spostrzegli, że szkice o Prusie-psychologu byłyby bardzo ciekawy, a psychologia erotyzmu jest u niego bezwzględnie najlepsza spośród wszystkich powieściopisarzy tego pokolenia, jeżeli nie wogóle w Polsce.

Właściwie Prus jest naszym najbardziej europejskim pisarzem tej generacji. Posiada on dojrzałość umysłową człowieka nowoczesnej kultury i kulturę tę zna i odczuwa. Takie „coup de force” jak odtworzenie Paryża, którego Prus nigdy nie widział, świadczy o niezmiernie silnej intuicji społecznej. Mówi się wiele o spostrzegawczości Reymonta. Jest to znowu jedna z legend, spotrzeczanych w obieg przez młodą Polskę. Spostrzeżenie nie jest faktem czysto zmysłowym. O wartości spostrzeżeń rozstrzygają nasze interesy, zwracające nas ku światu bogactwo, wielostronność kategorii zainteresowania. Z tego punktu widzenia, wszyscy inni pisarze polscy zestawieni z Prusem są niedzicy. Prus nie czuje się wykołajenem w nowoczesnym życiu, kocha je i ufa mu. Toteż licza spraw, rzeczy, typów, obchodzących go, jest niezmiernie. Zaden z innych pisarzy tej ep. ki nie wztogacil naszej literatury tyloma spostrzeżeniami, dotyczącymi współczesnych nam spraw, zaden nie wprowadził do niej rościaci dorównujących znaczeniem swej treści Wokulskiemu, Dębickiemu, Ochocickiemu, Latterowemu, Geistowi, zaden nie wypowiedział do nowoczesnej naszej powieści zagadnień tej miary, jak te, które interesują bohaterów Prusa, zaden wreszcie nie umiał tak dać odcznu poza życiem pojedynczych postaci życia ogółu, nieustannego narastania kultury. Taki „Pamiętnik subiekta” lub „Omyłka” są nie tylko dziełami niezrównanej wartości artystycznej, są globkami, pełnymi miłości i zrozumienia wnikiemiami w duszę pokolenia sprzed roku 1863. Pamiętnik Rzeckiego jest bardziej pouczający dla historyka, niż całe dziesiątki pamiętników autentycznych. Kiedyś, gdy cenna treści i zrozumienie obiektywnej wartości dzieł stanowiąc będą o miejscu wyznaczanem pisarzowi w historii piśmiennictwa, zrozumienie zostanie, że Prus był najwybitniejszym powieściopisarzem naszym drugiej połowy XIX w.

STANISŁAW BRZOZOWSKI.

IGNACY KRASICKI

BAJKI

WSTĘP DO BAJEK

Był młody, który życie wstrzeźniłwie pedził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie rzęził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebny udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie krał; i szewc, który nie pijał;
Zobierze, co się nie chwalił; i lohr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
— A cóż to jest za bajka? Wzysko to być może.
— Prawda; jednakże ja to między bajki wlotę.

ORZEŁ I JASTRZĄB

Orzeł, nie chcąc się podłem polowaniem bawił,
Postanowił jastrzębia na wróble wyprawił.
Przynosił jastrząb wróble, jadł je orzeł
smacznie;
Zaprawiony nakoniec przysmaczkiem
nieznanym,
Kiedy go coraz żywszy apetyt przenika,
Zjadł ptaszka na śniadanie, na obiad
ptaszniaka.

LEW I ZWIERZĘTA

Lew, ażeby dał dowód, jak wielce łaskawy,
Przypuszczał konfidentów do swojej zabawy.
Polowali z nim razem, a na znak miłości,
On jadł mięso, kompanom ustępował kości.
Gdy się więc dobroć taka rozgłosila wszędy,
Chcąc im jawnie pokazać większe jeszcze
względędy,
Ażeby się na jego łasce nie zawiedli,
Pozwolił, by jednego spośród siebie zjadł.
Po pierwszym poszedł drugi i trzeci i
czwarty.
Widząc, że się podpaśli, lew choć nie obarczył,
Zeby ująć drańcy, a sobie zakaził;
Dla kary, dla przykładu, zjadł wszystkich
pomalę.

KIĘGI

W pewnej bibliotece — gdzie była nie
pomnę —
Powadzili się kięgi; aże niezbyt skromne,
Zajęły się dowoli różnymi języki.
Wchodzi bibliotekarz, pyta się kroniki:
Dlaczego takie wierszki? „Dlatego się”
swarzem,
I żeś mnie śmiał polozyć obok z kalendarzem”
„Wszystko się to porządnie — rzekł jej —
posadziło;
On zmyśla to co będzie; ty zmyślaś co było”.

WILK I OWCE

Choć przykro, trzeba cierpieć, choć błąd,
wybaczyć,
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłumaczyć.
Wszedł wilk w traktat z owcami: o co? o
ich skóre,
Szło o rzeź. Widząc owce dobrą konjunkturę,
Tak go dobrze ujęły, tak go opisały,
I że się już odtąd więcej o siebie nie bały.
W kilka dni len, co owczej skóry zawładł
pragnie,
Widocznie, wśród południa, zjadł na polu
jagnię.
Owce w krzyk... a wilk na to: „Pocóż
narzekacie?
Wszak niemasz o jagniętach i wzmianki w
traktacie”
Uduślił potem owce: krzaka na wilka znowu;
Wilk rzecze: „Ona sama przyszła do
polowu”.

JAGNIE I WILKI

Zawidły znajdzie przyczynę, kto zdobyłcy i
pragnie i
Dwa wilki jedno w lesie nadybały jagnię,
Już go miały rozerwać; rzekło:
„Jakiem prawem?”
„Smaczne, słabe; i w lesie”... zjadły
niezabawem.

ŻÓŁW I MYSZ

Ze zamknięty w skorupie niewygodnie
siedział,
Żalowała mysz żołwia: żółw jej
odpowiedział:
„Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny.
Prawda, nie jest wspaniały; szczupły,
ale własny”.

DOBROczynność

Chwalała owca wilka, że był dobroczynny;
Lis to słysząc, spytał jej, w czemże tak
uczynny?
„I bardzo, — rzecze owca, — niewiele on
pragnie,
Moderat! mógł mnie zająć, zjadł mi tylko
jagnię”.

PTASZKI W KLATCE

„Czegoż płaczesz? — staremno mówił
czyżyk młody —
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu,
wygodę”.
„Tyś w niej zrodzon, — rzekł stary, —
przeło ci wybacze;
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego
płacę”.

MĄDRY I GŁUPI

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się?
Mądry milczał; gdy coraz bardziej
naprzykrza się,
Rzekł mu: „Na to się przyda, według
niego zdania,
Zeby nie odpowiadał na głupie pytania”.

IGNACY KRASICKI.

KAZIMIERZ TETMAJER

NARODZINY AFRODYTY

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
objęło cały świat. Na modym oceanie
słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał wokrag świat od światła i gorąca,
różany płonął kwiat, srebrniła lilja drżąc,
nad cichą modrą toni melonikowego morza
płynęła kwiatów won, jak lutni dźwięk, w przestworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem
potracił śpiący blask i śpiącą głębię pod słońcem:
zadręgał sennosć sfer, i kwiaty zaszeptaly,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
oczekiwanie — cud jakiś się dzwinył isci —
z błękitno-złotyeh wód, z zielono-złotyeh liści
dźwięczący wybiegł szmer, lekki i radosny,
Zadręgał sennosć sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęcza światłanych skier leżą na wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomalę —
zdumienie zajął świat: przejrzyście milnła sfery,
drzeć przestał róży kwiat, liłjowe ścichły szmery,
jakby zakłęta wón stanęła skryształona,
i w zadziwieniu ton spojrzala nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodiz wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech stala,
potem przez modrą głębię powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami światlistemi,
i boski uśmiech śle niebiosom, ładom, wodzie,
a świat dzinował się przecudnej jej wrodzie,
blask ją osuszał biegi, wón obcierał z rosy,
u nóg jej śnieżnych legł ocean modrowlosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
Zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują pierś jej i szyję i ramiona,
spijają perły pian z jej zagiegi i lubieżne,
w lotny okrąza tan jej uda smukłe, śmieżne,
zwolna się suną wadłuz jej pełnych bioder, a potem
ku ustom z wioną róż wlatują nagłym wlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
złocisty szafir ocz wiewia balsamiczne
i omdleając już, do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną
i naga stala tam, a dziwna jej potęga
aż do Hadesu bram nieprzekroczonych siega,
i zdrzał w szczech świat wokrag, bo z morskich głębokości
sprawczy mi wyszła mąż najroszłych dla ludzkości.

KAZIMIERZ TETMAJER.

JÓZEF PIŁSUDSKI ROK 1920

cena 8/6 (opr.)

do nabycia:

M. L. KOLIN (Publishers), LTD., LONDON: 9, New Oxford Street, W.C. 1.
PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate.
BLACKPOOL: 40, Lytham Road.